

ANATOLE FRANCE

MANEKIN

TRZCINOWY

Anatole France

Manekin trzcinowy

«Public Domain»

France A.

Manekin trzcinowy / A. France — «Public Domain»,

Manekin trzcinowy to powieść autorstwa Anatole'a France'a wydana w 1897 roku, będąca drugą częścią cyklu Historia współczesna. Jej główny bohater, pan Bergeret, przeżywa kryzys. Nie jest zadowolony ze swojego życia — czuje się niekochany przez żonę i dzieci, praca naukowa przestaje dawać mu satysfakcję. To poczucie bezsensu przywiedzie go na kres małżeństw i pozwoli zaznać życia z mniejszą liczbą zobowiązań, bogatego w intelektualny ferment, możliwości snucia refleksji na bieżące tematy polityczne i filozoficzne. Anatole France był francuskim pisarzem, którego lata twórczości przypadają na przełom XIX i XX wieku. Był bibliofilem i historykiem, prezentował postawę racjonalistyczną i sceptyczną, jego dzieła mają charakter filozoficzny, ale także satyryczny. Miał duży wpływ na twórczość m.in. Conrada, Prousta i Huxleya. W 1921 roku został uhonorowany Nagrodą Nobla w dziedzinie literatury.

© France A.

© Public Domain

Содержание

I	5
II	15
III	18
IV	21
V	25
Конец ознакомительного фрагмента.	26

Anatole France

Manekin trzciniowy

I

Przy ostrych, przenikliwych dźwiękach fortepianu, na którym za ścianą jego córki wykonywały trudne ćwiczenia, pan Bergeret, profesor nadzwyczajny na wydziale humanistycznym, w gabinecie swym przygotowywał wykład o ósmej księdze *Eneidy*. Gabinet pana Bergeret miał tylko jedno okno, ale tak wielkie, że zajmowało całą ścianę pokoju. Dawało ono więcej powietrza niż światła; nie domykało się bowiem, a na wprost, z bliska wznosił się wysoki mur. Na przysunięte do samego okna biurko pana Bergeret padało brudne i mętne światło. Prawdę mówiąc, pracownia ta, w której profesor wygłaszał swoje subtelne idee humanisty, była bezkształtnym zakątkiem, komórką za główną klatką schodową; jej to niedyskretna krągłość wysuwała się aż ku oknu i pozostawiała na prawo i lewo dwa kąty bezsensowne i niehumanitarne. Przytłoczony tą olbrzymią, brzuchatą ścianą, wylepioną zielonym obiciem, pan Bergeret w pokoju tym, który był zaprzeczeniem geometrii i rozumnej elegancji, z trudem znalazł małą wolną przestrzeń, by ułożyć swe książki na sosnowych półkach, gdzie długi szereg żółtych wydań Teubnera tonął w wiecznym cieniu. Pan Bergeret, wciśnięty w okno, pisał swe wykłady stylem lodowatym wskutek podmuchów chłodu; szczęśliwy był, jeśli rękopisów jego nie porozrzucano i nie poobdzierano lub nie połamano mu stalówek. Były to zwykłe ślady przejścia pani lub panien Bergeret przez pracownię profesora, tu bowiem zapisywały bieliznę oddawaną do prania oraz wydatki gospodarcze. Pani Bergeret zostawiała tu również trzciniowy manekin, na którym upinała przykrawane własnoręcznie suknie. Ten manekin trzciniowy – obraz życia małżeńskiego – stał oparty o uczone edycje Katullusa i Petroniusza.

Pan Bergeret przygotowywał wykład o ósmej księdze „Eneidy” i mógłby znaleźć w pracy tej jeśli nie radość, to ukojenie umysłu i nieoceniony spokój ducha. Niestety, porzucił osobliwości lingwistyki i metryki, którymi winien był się zajmować, by raczej badać kształt starożytnego świata, którego teksty studiował, by raczej gorąco pożądać widoku tych wybrzeży złocistych, tego morza błękitnego, tych gór różowych, tych łąk przepysznych, po których poeta prowadzi swych bohaterów, by gorzko żałować, że, jak np. Gastonowi Boissier¹, Gastonowi Deschamps², nie dane mu było zwiedzić wybrzeża, gdzie wznosiła się ongi Troja, podziwiać krajobrazów Wergilego, oddychać powietrzem Grecji, Italii i świętej Azji. Od myśli tych pracownia wydała mu się smutna i wielkie obrzydzenie napełniło jego serce. Stał się nieszczęśliwy z własnej winy. Bo wszystkie prawdziwe niedole nasze są wewnętrzne i przez nas samych wywołane. Mylnie sądzimy, że przychodzą one z zewnątrz: my sami je stwarzamy i wypełniamy własną treścią.

Pan Bergeret, zamknięty tyńkowanym cylindrem muru w swym pokoju, sam stwarzał smutki swe i zniechęcenie, bo rozmyślał nad tym, że żywot jego jest ciasny, pustelniczy, pozbawiony wszelkiej radości, że żona jego ma duszę pospolitą i że już nie jest piękna, że córki go nie kochają i że walki Eneasza z Turnusem nie mają sensu. Z tych myśli wyrwało go przybycie pana Roux, jego ucznia. Odbывał on właśnie jednoroczną służbę wojskową i przyszedł przedstawić się swemu mistrzowi w czerwonych spodniach i niebieskiej kurtce.

– He, he! – rzekł pan Bergeret – widzę, że przebrano mego najlepszego łacinnika za bohatera!

I gdy pan Roux bronił się przed nazwą bohatera, profesor dodał:

¹ Gaston Boissier (1823–1908) – literat, krytyk i archeolog, pozostawił m.in. wiele studiów z zakresu literatury i kultury starożytnej. [przypis redakcyjny]

² Gaston Deschamps (1861–1931) – pisarz, krytyk, dziennikarz i polityk, odbył podróż do Azji Mniejszej, należał do redakcji „Journal des Debats”, a w r. 1893 objął po Anatolu France dział krytyki literackiej w „Le Temps”. [przypis redakcyjny]

– Wiem, co mówię. Nazywam po prostu bohaterem tego, kto nosi pałasz. Gdyby pan miał futrzany kołpak, nazwałbym pana wielkim bohaterem. Ludziom, których wysła się na śmierć, trzeba przynajmniej pochlebiać. Nie można chyba mniejszym kosztem obarczać ich podobnymi zadaniami. Ale bodajbyś, mój przyjacielu, nigdy nie unieśmiertelnił się żadnym czynem bohaterskim i jedynie znajomością metryki łacińskiej zasłużył na cześć i hołdy ludzkie! Miłość ojczyzny dyktuje mi to szczere życzenie. Przekonałem się, studiując historię, że bohaterstwo istnieje tylko u zwyciężonych i po porażce. Rzymianie, naród mniej pochopny do wojny, niżby się zdawało, i nieraz bity, mieli Decjuszów tylko w ciężkich chwilach. Pod Maratonem bohaterstwo Cynegirasa objawia się właśnie w chwili najgorszej dla Ateńczyków, którzy wstrzymali wprawdzie armię barbarzyńców, ale nie mogli przeszkodzić, by odplynęła swobodnie wraz z wypoczętą konnicą perską. Persowie, jak się zdaje, nie bardzo zresztą wysilali się w tej bitwie.

Pan Roux postawił swój pałasz w kącie pokoju i usiadł na podanym mu krześle.

– Już cztery miesiące – rzekł – nie słyszałem rozumnego słowa. Ja sam przez ten czas wyteżałem wszystkie władze umysłu, żeby umiarkowanymi podarkami zjednać sobie jakie takie względy mego kaprała i sierżanta. Jedyny to dział sztuki wojennej, który udało mi się osiąść w zupełności. Jest to też dział najważniejszy. Ale straciłem za to całą zdolność pojmowania idei ogólnych i subtelnych myśli. A pan mówi mi, kochany panie profesorze, że Greków zwyciężono pod Maratonem i że Rzymianie nie byli narodem wojowniczym. Głowę tracę!

Pan Bergeret odrzekł spokojnie:

– Powiedziałem tylko, że zastępy barbarzyńców nie zostały zniszczone przez Milcjadesa. Co zaś do Rzymian, nie byli oni ściśle wojownikami, skoro dokonali korzystnych i trwałych podbojów, podczas gdy prawdziwi wojownicy, na odwrót, biorą wszystko, a nic nie zachowują. Tacy są np. Francuzi. I to jeszcze zauważyć należy, że w Rzymie, za królów, cudzoziemcy nie byli dopuszczani do służby w szeregach. Ale za czasów dobrego króla Serwiusza Tulliusza obywatele nie ponosili już sami trudów i niebezpieczeństw – nie strzegli już tak zazdrośnie tego zaszczytu – i powołali pod broń również cudzoziemców zamieszkających w mieście. Bywają bohaterowie, nie ma narodu bohaterów, nie ma armii bohaterów. Żołnierze szli naprzód zawsze tylko pod groźbą kary śmierci. Służba wojskowa była wstrętna nawet dla tych pasterzy z Lacjum, którzy dla Rzymu zdobyli panowanie nad światem i z Romy uczynili boginię.

Nosić rynsztunek było im tak ciężko, że nazwa rynsztunku, *aerumna*, wyrażała później znużenie, zmęczenie ciała i umysłu, nędzę, nieszczęście, klęskę. Dobrze kierowani, wytworzyli nie bohaterów, lecz dobrych żołnierzy i dobrych robotników ziemnych; po trochu zdobywali świat i pokrywali go siecią dróg i gościńców. Rzymianie nigdy nie szukali sławy; nie mieli wyobraźni. Wojny prowadzili tylko dla interesu, z najniezbędniejszej potrzeby. Triumf ich to triumf cierpliwości i rozsądku.

Ludzie kierują się zawsze najsilniejszymi uczuciami. U żołnierzy, jak w każdym tłumie, najsilniejszy jest strach. Idą na nieprzyjaciela jako na niebezpieczeństwo najmniejsze. Wojska w szyku bojowym stawia się z jednej i z drugiej strony tak, by nie mogły uciekać. Oto cały kunszt wojenny. Wojska Pierwszej Republiki były zwycięskie, bo z niezmierną surowością przechowywano w nich obyczaje dawnego porządku, podczas gdy rozluźniły się one w obozie sprzymierzonych. Nasi generałowie z roku II byli sierżantami La Ramée: kazali rozstrzeliwać codziennie pół tuzina rekrutów, by, jak mówi Wolter, dodać ducha pozostałym i ożywić ich tchnieniem patriotyzmu.

– To bardzo możliwe – rzekł pan Roux. – Ale jest jeszcze rzecz inna. Jest to wrodzona rozkosz strzelania. Wie pan przecie, kochany panie profesorze, że nie jestem istotą niszczycielską. Nie mam zamiłowania do militarystyki. Mam bardzo postępowe idee³ humanitarne i wierzę, że bohaterstwo ludów będzie dziełem zwycięskiego socjalizmu. Wreszcie, kocham ludzkość. Ale niech mi tylko wetkną karabin do ręki, mam ochotę strzelać do wszystkich. To jest już we krwi...

³ Mam (...) postępowe idee – dziś raczej: mam postępowe poglądy. [przypis edytorski]

Pan Roux był pięknym, silnym chłopcem, który bardzo prędko poradził sobie w pułku. Forsowny wysiłek fizyczny odpowiadał jego krewkiemu temperamentowi. A że ponadto był nadzwyczaj przebiegły, potrafił jeśli nie polubić ten zawód, to jednak znośnym sobie uczynić życie w koszarach, zachować zdrowie i dobry humor.

– Zna pan profesor – dodał – siłę sugestii. Dość jest zatknąć człowiekowi bagniet na karabin, by wepchnął go w brzuch pierwszemu lepszemu i stał się, jak pan mówi, bohaterem.

Głos pana Roux, o południowym akcencie, nie przebrzmiał jeszcze, gdy pani Bergeret weszła do gabinetu, dokąd zazwyczaj nie pociągała jej obecność męża. Pan Bergeret zauważył, że miała na sobie swój piękny, różowo-biały szlafrok.

Udała zdziwioną, zastawszy tam pana Roux; przyszła tylko prosić pana Bergeret o tom poezji dla rozrywki.

Profesor zauważył jeszcze, nie interesując się tym zresztą, że nagle stała się prawie ładna i miła.

Pan Roux zdjął *Słownik* Freunda ze starego ceratowego fotela i podsunął fotel pani Bergeret. Pan Bergeret spoglądał kolejno to na *in-folio* oparte teraz o ścianę, to na panią Bergeret, która zajęła jego miejsce na fotelu, i rozmyślał, że te dwie masy substancji, tak odmienne w chwili obecnej, tak różne co do wyglądu, natury i użytku, były niegdyś przed wiekami zasadniczo podobne; było to wówczas, gdy oboje, słownik i niewiasta, unosili się w stanie lotnym w pierwotnej mgławicy.

„Boć ostatecznie – myślał – pani Bergeret unosiła się w nieskończoności wieków bez kształtu, bez świadomości, rozpierzchną w lekkich błyskach tlenu i węgla. Atomy, z których kiedyś powstać miał ten leksykon łaciński, krążyły w tym samym czasie poprzez wieki, w tej samej mgławicy, z której w końcu wyłonić się miały potwory, owady i nieco myśli. Wieczności trzeba było, by stworzyć mój słownik i moją żonę, tych świadków mego ciężkiego życia, te formy wadliwe, niekiedy natrętne. Słownik jest pełen błędów, Amelia w ciele pospolitym nosi duszę opryskliwą. Toteż nie można się spodziewać, aby nowa wieczność stworzyła wreszcie wiedzę i piękno. Żyjemy chwilę, ale nic byśmy nie zyskali, żyjąc zawsze. Nie zbywało przyrodzie ani na czasie, ani na przestrzeni i oto widzimy jej dzieło”.

Pan Bergeret niespokojnie snuł dalej wątek swych myśli.

„Lecz czyż czas nie jest tylko ruchem przyrody i czyż mogę powiedzieć, że ruchy te są długie lub krótkie? Przyroda jest okrutna i banalna. Lecz skądże wiem o tym? I jak znaleźć się poza nią, by ją poznać i ocenić? Może bym więcej cenił świat, gdybym w nim inne zajmował miejsce”.

I pan Bergeret, ocknąwszy się z marzenia, pochylił się, by lepiej oprzeć o ścianę chwiejące się księgi.

– Opalił się pan, panie Roux – rzekła pani Bergeret – zdaje mi się też, że schudł pan trochę. Ale dobrze panu z tym.

– Pierwsze miesiące są męczące – odrzekł pan Roux. – Oczywiście musztra o szóstej z rana na podwórzu koszarowym podczas mrozu jest przykra, poza tym nie od razu przezwycięża się wstręt do wspólnej izby. Ale zmęczenie jest lekiem znakomitym, a ogłupienie cenną pomocą. Żyje się w odrętwieniu, jakby w warstwach waty. Ponieważ śpi się w nocy snem co chwila przerywanym, więc w dzień nie jest się nigdy zupełnie rozbudzonym. I ten ciągły stan letargicznego automatyzmu sprzyja dyscyplinie: jest zgodny z duchem wojskowym, ułatwia fizyczny i moralny rygor u żołnierzy.

W ogóle jednak pan Roux nie miał powodu się skarżyć. Ale miał przyjaciela, niejakiego Deval, ucznia Instytutu Języków Wschodnich na oddziale malajskim; ten był istotnie nieszczęśliwy i przygnębiony. Deval, inteligentny, wykształcony, mężny, ale sztywny cieleśnie i duchowo, niezręczny, niezgrabny, miał ściśle poczucie sprawiedliwości, dokładnie rozumiał swe prawa i obowiązki. Cierpiał wskutek tego jasnowidzenia. Deval był dopiero od dwudziestu czterech godzin w koszarach, gdy sierżant Lebrec zapytał go w słowach, które trzeba było złagodzić dla uszu pani Bergeret, jaka to niegodna osoba mogła wydać na świat takie cielő jak źle równający numer 5. Sporo czasu upłynęło, zanim Deval upewnił się, że on sam jest tym cielőciem numer 5. Dopiero wyrok skazujący go na areszt rozwiązał jego wątpliwości. I wtedy jeszcze nie pojął, jak można obrażać cześć pani Deval, jego matki,

dlatego że on źle równał w szeregu. Niespodziewana odpowiedzialność jego matki za tę okoliczność sprzeciwiała się jego ideom sprawiedliwości. Po czterech miesiącach wciąż jeszcze zachowuje z tego powodu bolesne zdumienie.

– Przyjacieli pański, pan Deval – odrzekł pan Bergeret – na opak zrozumiał rycerską przemowę. Taka właśnie mowa, jak sądzę, zdolna jest podnieść ducha żołnierzy, pobudzić ich do współzawodnictwa o wyższe rangi, aby sami też, gdy na nich przyjdzie kolej, mogli z podobną przemową występować. Mowa taka, oczywiście, wyraża wyższość mówcy nad tym, do którego się zwraca. Należy pilnie baczyć, aby w armii nie umniejszać przywilejów zwierzchników, jak to w świeżym okólniku niebacznie uczynił pewien cywilny minister wojny, człowiek ugrzeczny i uprzejmy. Przejęty szacunkiem dla godności obywatela-żołnierza, oficerom i podoficerom zakazał tykać⁴ szeregowców; nie spostrzegł, że pogarda dla podwładnych wyrabia ducha współzawodnictwa i jest podstawą hierarchii. Sierżant Lebrec przemawiał jak bohater kształtujący bohaterów. Potrafiłem odbudować sobie jego przemowę w formie oryginalnej, gdyż jestem filologiem. I nie waham się twierdzić, że sierżant Lebrec był wzniosły, gdyż utożsamiał cześć rodziny z postawą rekruta w szeregach, z postawą, od której zależy los bitew. Rekrut numer 5 u samego źródła istnienia swego zespolił się więc z pułkiem i sztandarem...

Powie mi pan może, że popełniając błąd wspólny wszystkim komentatorom, przypisuję memu autorowi zamiary, których nie miał wcale. Zgodzę się z panem, że było dość nieświadomości w pamiętnej przemowie sierżanta Lebrec. Ale to właśnie jest cechą geniuszu; geniusz wybucha, nie mierząc swej siły.

Pan Roux odrzekł z uśmiechem, że również i jego zdaniem natchnienie sierżanta Lebrec było bezwiedne.

Lecz pani Bergeret rzekła sucho do męża:

– Nie rozumiem cię, Lucjanie. Śmiejesz się z tego, co wcale śmieszne nie jest, i nie wiadomo nigdy, czy żartujesz, czy mówisz poważnie. Nie można z tobą rozmawiać.

– Moja żona tak myśli jak mój dziekan – rzekł pan Bergeret. – Trzeba im obojgu przyznać rację.

– Ach – zawołała pani Bergeret – nie radzę ci mówić o dziekanie! Dokładałeś wszelkich starań, aby mu się nie podobać, a teraz żałujesz swej nieostrożności. Znalazłeś też sposób, by poróżnić się z rektorem. Spotkałam go w niedzielę na bulwarach, gdy byłam na spacerze z córkami: zaledwie mi się uklonił.

Odwróciła się ku młodemu żołnierzowi.

– Panie Roux, wiem, że mój mąż bardzo panu sprzyja. Jest pan jego ulubionym uczniem. Wróży panu świetną przyszłość.

Pan Roux, ogorzały, kędzierzawy, z błyszczącymi zębami, uśmiechnął się bez fałszywej skromności.

– Panie Roux, niech pan namówi mego męża, by oszczędzał ludzi, którzy mogą mu być użyteczni. Pustka robi się dokoła nas.

– Co za myśl, łaskawa pani! – szepnął pan Roux. I zwrócił rozmowę na inny temat.

– Chłopi z trudnością znoszą te trzy lata. Cierpią. Ale nikt o tym nie wie, bo wszystkie uczucia wyrażają jednakowo. Oderwani od ziemi, którą kochają miłością zwierząt, wloką swój smutek ponury, milczący i głęboki. W wygnaniu i niewoli mają za rozrywkę strach przed władzą i trudy zawodu. Wszystko jest dla nich trudne i obce. W mojej kompanii jest dwóch Bretończyków, którzy po sześciu tygodniach nauki nie potrafili zapamiętać nazwiska pułkownika. Co rano stojąc w szeregu przed sierżantem uczymy się tego nazwiska razem z nimi, nauka wojskowa bowiem jest jednakowa dla wszystkich. Pułkownik nasz nazywa się Dupont. I tak jest ze wszystkimi ćwiczeniami. Żołnierze inteligentni i zręczni czekają bez końca na tępych.

⁴ tykać – tu: mówić na „ty”. [przypis edytorski]

Pan Bergeret zapytał, czy oficerowie, podobnie jak sierżant Lebrec, uprawiają wymowę rycerską.

– Mam – odrzekł pan Roux – młodziutkiego kapitana, który, przeciwnie, przestrzega najbardziej wyszukanej grzeczności. Ten esteta i mistyk maluje blade dziewice i anioły w różowych i zielonawych niebiosach. Ja dorabiam objaśnienia do jego obrazów. Podczas gdy Deval pełni służbę na podwórzu koszarowym, ja jestem na służbie u mego kapitana, który zamawia u mnie wiersze. Jest to czarujący człowiek. Nazywa się Marceli de Lagere, a wystawia swoje obrazy pod pseudonimem Cyne.

– Czy jest on także bohaterem? – zapytał pan Bergeret.

– To istny święty Jerzy! Wyrobił sobie mistyczne pojęcie o zawodzie żołnierskim. Powiada, że jest to stan idealny. Nie patrząc, człowiek idzie ku nieznanemu celowi, kroczy pobożnie, w czystości i powadze ku tajemniczym i koniecznym poświęceniom. Zachwyca mnie istotnie. Uczę go białego wiersza i prozy rytmicznej. Zaczyna już tworzyć poematy o armii. Jest szczęśliwy, spokojny, łagodny. Jedna rzecz go martwi, to nasza chorągiew. Jest bowiem zdania, że jej barwy: niebieska, biała i czerwona, są źle dobrane i gryzą się ze sobą. Pragnąłby chorągwi różowej lub fioletowej. Marzą mu się niebiańskie proporce. „Gdyby jeszcze – mówi ze smutkiem – te trzy pasma wychodziły z drzewca jak trzy płomienne języki proporca, byłoby to może znośne. Ale umieszczone są pionowo i zupełnie bezsensownie przecinają powiewające zwoje chorągwi”. Cierpi nad tym. Ale jest cierpliwy i mężny. Powtarzam panu: to święty Jerzy.

– Z portretu, który pan mi kreśli – rzekła pani Bergeret – mam dlań żywą sympatię.

To rzekłszy surowo spojrzała na pana Bergeret.

– Czy nie zdumiewa on innych oficerów? – zapytał pan Bergeret.

– Bynajmniej – odrzekł pan Roux. – W klubie i na zebraniach nic nie mówi. Wygląda jak inni oficerowie.

– A co myślą o nim żołnierze?

– W koszarach żołnierze nigdy nie widują swoich oficerów.

– Zostanie pan u nas na obiedzie, panie Roux – rzekła pani Bergeret. – Sprawi pan nam prawdziwą przyjemność.

Te słowa przywiodły na myśl panu Bergeret przede wszystkim obraz pieroga. Ilekroć pani Bergeret niespodzianie zapraszała kogoś na obiad, zawsze u cukiernika Magloire zamawiała ciasto, najczęściej pierog postny, jako rzecz wykwinniejszą. Bez požądania, jako przedmiot czystej wyobraźni, pan Bergeret widział więc pierog z jajami lub rybą, dymiący na półmisku w błękitne żyłki, na adamaszkowym obrusie. Widzenie prorocze i pospolite zarazem. Potem pomyślał, że pani Bergeret widocznie wyróżnia osobliwie pana Roux, skoro zaprasza go na obiad. Pani Amelia Bergeret rzadko komuś obcemu czyniła honory swego skromnego domu. Słusznie obawiała się wydatków i zachodu. W dniu, w które wydawała obiady prośzone, z brzękiem tłukły się talerze; Eufemia, służąca, krzyczała z przestachu lub płakała z oburzenia; ostry dym napełniał mieszkanie, a zapachy kuchenne przenikały aż do pracowni i tu trapiły pana Bergeret wśród cieniów Eneasza, Turnusa i nieśmiałej Lawinii. Jednakże profesor ucieszył się, że jego uczeń, pan Roux, wieczorem spożyje obiad przy jego stole. Lubił obcować z ludźmi i rad był długim rozmowom.

Pani Bergeret dodała:

– Obiad bez ceremonii, panie Roux, na los szczęścia.

I wyszła, by wydać rozkazy młodocianej Eufemii.

– Drogi przyjacielu – rzekł pan Bergeret do swego ucznia – czy zawsze jeszcze głosisz doskonałość wiersza białego? Co do mnie, wiem, że formy poetyckie zmieniają się zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Wiem, że wiersz francuski z biegiem wieków bezustannie się zmieniał. Ukryty za mymi zeszytami metryki, uśmiecham się dyskretnie z religijnego przesądu poetów, którzy nie chcą, by tykano instrumentu uświęconego ich geniuszem. Dostrzegam, że poeci nie uzasadniają reguł, których się trzymają, i sądzę, że przyczyn nie należy szukać w wierszu samym, lecz raczej w śpiewie, który towarzyszył mu pierwotnie. Wreszcie, chętnie pojmuję nowatorstwa, gdyż kieruje mną duch nauki,

z istoty swej mniej zachowawczy niż duch sztuki. Jednakże nie pojmuję dobrze wiersza białego; nie wiem nawet, jak go określić, nie wiadomo, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy; to niepokoi mnie, a zarazem...

W tej chwili wszedł do gabinetu profesora mężczyzna młody jeszcze, zręczny, o ostrych, posagowych rysach. Był to komandor Aspertini z Neapolu, filolog, agronom i poseł do parlamentu włoskiego. Od dziesięciu lat, na wzór wielkich humanistów Odrodzenia i XVII wieku, prowadził z panem Bergeret uczoną korespondencję. Ilekroć podróżował po Francji, zawsze odwiedzał swego korespondenta. Carlo Aspertini był bardzo ceniony w nauce za to, że z na wpół zwęglonego rękopisu pompejańskiego odczytał cały traktat Epikura. Obecnie zajmował się rolnictwem, polityką i interesami; przy tym namiętnie lubił numizmatykę, a wytworne jego ręce czuły wprost potrzebę przebierania w medalach. Toteż do*** przybywał nie tylko po to, by odwiedzić pana Bergeret, lecz również, by z rozkoszą podziwiać niezrównany zbiór starych monet, zapisanych bibliotece miejskiej przez Boucher de La Salle. Przyjeżdżał też dla sprawdzenia tekstu listów Muratoriego⁵, które również znajdowały się w tutejszej bibliotece.

Ci dwaj ludzie, których wiedza uczyniła rodakami, zarzucili się nawzajem grzecznościami. Po chwili, gdy neapolitańczyk zauważył obecność wojskowego, pan Bergeret wyjaśnił mu, że ten galijski żołnierz jest młodym filologiem, pełnym zapachu dla studiów łacińskich.

– W tym roku – dodał pan Bergeret – na podwórzu koszarowym uczy się on stawiać jedną nogę przed drugą. I widzi pan w nim to, co nasz świetny dowódca dywizji, generał Cartier de Chalmot, nazywa elementarną jednostką taktyki, a co pospolicie zwie się żołnierzem. Tak, pan Roux, mój uczeń, jest żołnierzem. Odczuwa on to jako zaszczyt, ma bowiem duszę szlachetną. Prawdę mówiąc jest to zaszczyt, który w chwili obecnej dzieli ze wszystkimi młodzieńcami dumnej Europy. I na waszych neapolitańczyków spada ten zaszczyt, odkąd należą do wielkiego narodu.

– Mimo całej lojalności dla domu sabaudzkiego muszę przyznać, że służba wojskowa i podatki tak dalece dają się we znaki ludowi neapolitańskiemu, iż nieraz zdarza mu się żałować dobrych czasów króla Bomby⁶, gdy wesoło żył bez chwały pod rządem lekkomyślnym. Nasz lud nie lubi ani płacić podatków, ani służyć w wojsku. Prawodawca lepiej może rozumie konieczności życia narodowego. Ale pan wie, że co do mnie, to zawsze zwalczałem politykę megalomanów i że ubolewam nad wielkimi zbrojeniami powstrzymującymi wszelki postęp umysłowy, moralny i materialny w Europie. Jest to wielkie a rujnujące szaleństwo, które skończy się śmiesznością.

– Nie przewiduję końca tego szaleństwa – odrzekł pan Bergeret. – Nikt go nie pragnie prócz kilku mędrców bez siły i bez wpływu. Ci, którzy rządzą państwami, nie mogą życzyć sobie rozbrojenia, gdyż to utrudniłoby ich czynności i pozbawiło doskonałego narzędzia panowania. Bo narody zbrojne dają się prowadzić potulnie. Dyscyplina wojskowa zaprawia je do uległości; u takich ludów nie trzeba obawiać się ani buntów, ani rozruchów i zamieszek. Gdy służba wojskowa obowiązuje wszystkich, gdy wszyscy obywatele są lub byli żołnierzami, wszystkie siły społeczne układają się tak, by bronić władzy lub nawet braku władzy, jak to widzimy we Francji.

Właśnie w chwili gdy pan Bergeret wygłaszał te uwagi polityczne, z pobliskiej kuchni zaleciał syk tłuszczu rozlanego na ogień; profesor wynioskował stąd, że młoda Eufemia, stosownie do zwyczaju obowiązującego w dnie uroczyste, wylała do ognia pełną patelnię tłuszczu, nieostrożnie ustawioną nad stosem żarzących się węgli. Zauważył, że fakty takie zdarzają się z niewzruszoną ścisłością praw rządzących światem. Nieznośny swąd spalonego tłuszczu przeniknął do pracowni, a pan Bergeret w tych słowach snuł dalej swe myśli:

– Gdyby Europa nie była w koszarach, widziano by, jak niegdyś, wybuchy rewolucji we Francji, w Niemczech lub we Włoszech. Ciemne siły, chwilami burzące się na bruku ulic, dziś znajdują

⁵ *Lodovico Antonio Muratori* (1672–1750) – archeolog włoski, opublikował wiele tekstów pisarzy starożytnych. [przypis redakcyjny]

⁶ *Król Bomba* – przydomek nadany przez lud Ferdynandowi II, królowi Obojga Sycylii (1830–1859), który, tłumiąc w r. 1848 ruchy wolnościowe na Sycylii, kazał okrutnie zbombardować Mesynę. [przypis redakcyjny]

regularne ujęcie w musztrze, w kulbaczeniu koni i w uczuciach patriotycznych. Ranga kaprała daje należyty upust energii młodych bohaterów, którzy bez przymusu wojskowego stawialiby może barykady, ot, dla rozprostowania ramion. Dowiaduję się właśnie, że pewien sierżant nazwiskiem Lebrec wygłasza wzniosłe przemowy. W biurze bohater ten wzdychałby do wolności. W mundurze pragnie tyranii i przez to zapewnia panowanie porządku. Łatwo jest utrzymać pokój wewnętrzny w narodach uzbrojonych. Proszę zauważyć, że w przeciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat Paryż tylko jeden raz burzył się trochę i właśnie ten jedyny ruch był wywołany przez ministra wojny⁷. Generał mógł zrobić to, czego trybun nie mógłby dokazać. I gdy generała tego odsunęto od armii, odsunęto go tym samym od narodu: od razu utracił swą siłę. W królestwach, cesarstwach i republikach obowiązkowa służba wojskowa jednakowo sprzyja urokowi rządzących; pozwala to kierować armią zamiast rządzić narodem. Rozbrojenie, którego rządzący sobie nie życzą, nie jest też upragnione przez ludy. Ludy chętnie znoszą służbę wojskową, która, choć nierozkoszna zgoła, odpowiada jednak gwałtownym, naiwnym instynktom większości ludzi. Jest ona dla nich najprostszym, najsilniejszym wyrazem obowiązku, olśniewa ich wspaniałością i blaskiem parad, obfitością metalu zużywanego przez armię, wreszcie porywa ich obrazami siły, wielkości i sławy takiej, jaką tylko są zdolni sobie wyobrazić. Ludzie rzucają się do służby wojskowej śpiewając; jeśli jest inaczej, ciągnie się ich siłą. Toteż nie widzę końca tego szacownego stanu, który uboży i ogłupia Europę.

– Dwa mogą być wyjścia – odrzekł komandor Aspertini – wojna i bankructwo.

– Wojna! – odparł pan Bergeret. – Łatwo dostrzec, że wielkie zbrojenia powstrzymują wojnę, czyniąc ją samą zbyt straszną, a powodzenie zbyt niepewnym dla obu przeciwników. Co zaś do bankructwa, to pewnego dnia na ławce w ogrodzie przepowiadałem je księdzu Lantaigne, rektorowi naszego seminarium. Ale co do tego nie trzeba mi wierzyć. Szczegółowo badał pan, kochany panie Aspertini, dzieje cesarstwa wschodniego, więc musiał pan dostrzec, że ludy posiadają tajemnicze zasoby finansowe, których nie mogą zrozumieć najzdolniejsi ekonomiści. Naród zrujnowany może żyć pięćset lat z ucisku i grabieży. Któż zliczyć może, ile naród wielki w całej swej nędzy dostarczy obrońcom swoim armat, karabinów, złego chleba, kiepskiego obuwia, słomy i owsa?

– Ma pan słuszność pozornie – odrzekł komandor Aspertini. – Jednak zdaje mi się, że powszechny pokój świtać już poczyną.

Neapolitańczyk śpiewnym głosem wypowiadać począł swe nadzieje i marzenia. Słowom jego towarzyszył odgłos głuchych uderzeń tasaka, którym za ścianą, na stole kuchennym, młoda Eufemia siekała mięso na paszteciki dla pana Roux.

– Czy pamięta pan, panie Bergeret – mówił Aspertini – ten ustęp z *Don Kiszota*, gdzie Sanczo uskarża się na srogie a ciągle niepowodzenia? Przemysłny rycerz odpowiada mu, że długa ta niedola jest znakiem bliskiego szczęścia: „Bo – mówi – fortuna zmienna jest, a cierpienia nasze zbyt długo już trwają, więc teraz ustąpią miejsca powodzeniom”. Samo prawo zmienności...

Ciąg dalszy tej radosnej przemowy zginął w wybuchu kociołka wrzącej wody i w nieludzkich krzykach wydawanych przez Eufemię, w strachu uciekającą od komina.

Wtedy pan Bergeret, zasmucony swym niewytwornym, skąpym życiem domowym, zamarzył o jakiejś willi, gdzie na białym tarasie, nad brzegiem błękitnego jeziora, wśród woni mirtów, w cichej godzinie, gdy księżyc rozmarzony płynie po niebie czystym jak spojrzenie dobrych bogów i łagodnym jak oddech bogiń, mógłby wieść spokojne rozmowy z komandorem Aspertinim i panem Roux.

Ale prędko otrząsnąwszy się z tego marzenia, wziął znów udział w rozpoczętej rozmowie.

– Wojna pociąga za sobą niekończące się skutki. Z listu mego serdecznego przyjaciela, Williama Harrisona, dowiaduję się, że od 1871 roku pomiatają w Anglii wiedzą francuską. Uniwersytety w Oxfordzie, w Cambridge lub w Dublinie ostentacyjnie pomijają podręcznik archeologii Maurycego Raynouard, który wszakże oddać może studentom większe usługi niż jakakolwiek inna praca tego rodzaju. Ale nikt nie chce kształcić się w szkole ludów zwyciężonych.

⁷ ten jedyny ruch był wywołany przez ministra wojny – mowa o generale Boulanger. [przypis redakcyjny]

Aby profesor wykładający o sztuce na Eginie albo o powstaniu i rozwoju ceramiki greckiej zasługiwał na wiarę, trzeba koniecznie, by należał do narodu celującego w odlewaniu armat. Dlatego że marszałka Mac-Mahona w 1870 roku pobito pod Sedanem i że generał Chanzy tegoż roku stracił swoją armię w Maine, kolega mój, Maurycy Raynouard, nie ma wstępu do Oxfordu w roku 1897. Takie są oto uboczne i powolne, lecz pewne skutki niższości wojennej. I aż zanadto jest prawdą, że od dryblasza noszącego szablę zawisł los Muz.

– Kochany panie – rzekł komandor Aspertini – odpowiem panu ze szczerością dozwoloną przyjacielowi. Zaznaczmy naprzód, że myśl francuska tak jak dawniej bierze udział w ruchu umysłowym świata. Podręcznik archeologii pańskiego uczonego rodaka, Maurycego Raynouard, nie znalazł się na półkach wszechnic angielskich, ale wasze dramaty i komedie są grywane na wszystkich scenach świata; powieści Alfonsa Daudet i Emila Zoli tłumaczy się na wszystkie języki; płótna waszych mistrzów zdobią galerie obu półkul świata; prace waszych uczonych rzucają blask wszechświatowy. I jeśli duch wasz nie wstrząsa już duchem narodów, głos wasz nie przyśpiesza bicia serc ludzkości, dzieje się tak dlatego, że nie chcecie już być apostołami sprawiedliwości i braterstwa, nie wymawiacie teraz tych świętych słów, co koją i pokrzepiają. Francja nie jest już przyjaciółką rodzaju ludzkiego, współobywatelką ludów, nie wyciąga już rąk, by rozsiewać ziarna wolności, które niegdyś rzucała z taką obfitością, z tak królewskim gestem, iż przez długi czas każda wzniosła myśl ludzka zdała się być myślą francuską. Francja nie jest już Francją filozofów i rewolucji; na poddaszach w sąsiedztwie Panteonu i Luksemburgu nie ma już tych młodych mistrzów, co po nocach, na nieociosanych stołach pisali owe natchnione słowa, od których dreszcz wstrząsał ludami i bledli tyrani. Nie uskarżajcie się zatem, że straciliście sławę, której przezorność wasza się obawia.

Nade wszystko nie mówcie, że wasze nieszczęścia wynikają z waszych porażek. Powiedzcie, że pochodzą z waszej winy. Naród od bitwy przegranej nie cierpi więcej niż człowiek silny od zadrażnienia szpadą w pojedynku. Cios taki powoduje zaledwie przejściowe zaburzenie w gospodarce i osłabienie łatwe do usunięcia. Aby temu zaradzić, wystarcza trochę sprytu, zręczności i zmysłu politycznego. Pierwszą rzeczą, najpotrzebniejszą i zaiste najłatwiejszą, jest wyciągnąć z porażki całą chwałę wojenną, jaką ona dać może. Gdy dobrze rzecz rozważyć, sława zwyciężonych równa się sławie zwycięzców, a zarazem bardziej wzrusza. Ażeby porażkę uczynić piękną, należy wielbić generała i armię, którzy ją ponieśli, i rozgłaszać te piękne epizody, które nadają nieszczęściu wyższość moralną. W takie zdarzenia obfituje nawet najspiesniejszy odwrót. Zwyciężeni winni przede wszystkim zdobić, upiększać, ozłacać swą klęskę i wyciskać na niej wybitne znamiona wielkości i piękna. U Tytusa Liwiusza widzimy, że nie omieszkali czynić tego Rzymianie, że zawieszali zieleni i wieńce na mieczach złamanych nad Trebią, Trazymenem i pod Kannami. Nawet oplakaną beczynność Fabiusza wysławili tak, że po dwudziestu dwóch wiekach podziwia się dziś jeszcze mądrość Kunktatora, który był tylko starym głupcem. Jest to najcenniejsza umiejętność zwyciężonych.

– Umiejętność ta nie poszła w niepamięć – rzekł pan Bergeret – Italia uprawiała ją za naszych czasów po Novarze⁸, Lissie⁹, Adui¹⁰.

– Kochany panie – odrzekł komandor Aspertini – kiedy armia włoska kapituluje, uważamy słusznie, że kapitulacja taka jest pełna chwały. Rząd, który przedstawi porażkę w szatach estetycznych, zjednywa sobie w kraju własnym opinię patriotów i staje się interesującym w oczach zagranicy. Zysk to dość znaczny. W roku 1870 zależało tylko od was, Francuzów, by go osiągnąć. Gdyby na wieść o klęsce pod Sedanem senat i izba deputowanych wraz ze wszystkimi władzami państwowymi jednogłośnie, uroczyście podziękowały Napoleonowi III i marszałkowi Mac-Mahon

⁸ Novara – pod Novarą Włosi ponieśli w r. 1849 klęskę od Austriaków pod wodzą marszałka Radetzkiego. [przypis redakcyjny]

⁹ Lissa – koło Lissy (wyspa na Adriatyku) rozgromiła flotę włoską w r. 1866 flota austriacka dowodzona przez admirała Tegetthoffa. [przypis redakcyjny]

¹⁰ Adua – pod Aduą (stolica prowincji Tigre w północnej Abisynii) pokonali ich [Włochów; red. WL] w r. 1896 Abisyńczycy. [przypis redakcyjny]

za to, że wydając bitwę nie zwątpił o ocaleniu ojczyzny, czy nie sądzi pan, że naród francuski z niepowodzenia swego oręża wyniosłby znakomitą chwałę i silnie wyraziłby niewzruszoną wolę zwycięstwa? Daleki jestem od zuchwalstwa, by pańskim ziomkom, kochany panie Bergeret, udzielać lekcji patriotyzmu. Ukazałbym się w złym świetle. Podaję panu tylko kilka uwag, które po śmierci mojej znajdziecie skreślone na marginesach Liwiusza.

– Nie pierwszy to raz – rzekł pan Bergeret – komentarze *Dekad*¹¹ warte są więcej od tekstu. Lecz proszę mówić dalej.

Komandor Aspertini uśmiechnął się i podjął swą przemowę:

– Ojczyzna czyni rozumnie, sypiąc pełnymi garściami lilie na rany zadane przez wojnę. Potem dyskretnie, milcząco, szybkim rzutem oka bada ranę. Jeśli cios był ciężki, jeśli siły kraju są poważnie naruszone, rozpoczyna natychmiast układy. Dla układów ze zwycięzcą najkorzystniejsza jest chwila najbliższa. Przeciwnik w pierwszym oszołomieniu triumfu podejmuje z radością układy, które jego pierwsze powodzenie mają zamienić na trwałe już szczęście. Nie miał on jeszcze czasu wzbąć się w pychę trwałością sukcesów ani rozdrażnić się zbyt długim oporem. Nie może wymagać wygórowanego odszkodowania za straty jeszcze niewielkie. Jego rodzące się pretensje jeszcze nie urosły. Być może, że i wtedy nie przyjmie pokoju na łatwych warunkach. Ale można być pewnym, że gdy zwyciężony zwleka z żądaniem pokoju, później będzie musiał opłacić go drożej. Mądrość polega na tym, żeby układać się, nie okazawszy całej swej słabości. Otrzymuje się wtedy warunki łżejsze, a interwencja państw neutralnych jeszcze je łagodzi. Co zaś do tego, by szukać rozpaczliwie ratunku i pokój zawierać dopiero po zwycięstwie, są to zapewne piękne zasady, ale trudne do zastosowania w czasach obecnych, kiedy z jednej strony handlowe i przemysłowe wymagania życia współczesnego, z drugiej zaś – ogrom armii, którą odziać i żywić trzeba, nie pozwalają przeciągać walki w nieskończoność, a zatem słabszemu nie dają czasu, by poprawił swą sytuację. W roku 1870 Francja kierowała się najszlachetniejszymi uczuciami. Ale rozsądnie rzecz biorąc, powinna była przystąpić do układów po pierwszych, chlubnych zresztą niepowodzeniach. Miała ona rząd, który mógł i powinien był podjąć się tego zadania i który byłby przeprowadził je na warunkach najkorzystniejszych, na jakie odtąd w ogóle liczyć było można. Rozsądek nakazywał przed pozbyciem się tego rządu wyciągnąć zeń tę ostatnią korzyść. Postąpiono odwrotnie. Francja powzięła nierozważną myśl, aby rząd, który zносиła przez lat dwadzieścia, obalić w chwili, kiedy zaczynał jej być potrzebny. Zamieniła go na rząd inny: ten, nie solidaryzując się z poprzednim, musiał ponownie podjąć wojnę, nie wnosząc do niej nowych sił. Później jeszcze trzeci rząd usiłował utwierdzić swą władzę.

Gdyby mu się było udało, zaczęto by wojnę po raz trzeci na tej zasadzie, że dwie pierwsze próby nieudane nie wchodziły w rachubę. Powiecie, że potrzebne to było dla ocalenia honoru narodowego. Ale krwią waszą ocaliliście dwa honory: honor Cesarstwa i honor Republiki i gotowiście byli ratować trzeci honor, honor Komuny. A przecież jasne, że naród, choćby najdumniejszy, tylko jeden honor ocalić powinien. Ten zbytek szlachetności doprowadził was do ostatecznej niemocy, z której na szczęście dźwigać się zaczynacie...

– Tak – rzekł pan Bergeret – gdyby Włochy zostały pobite pod Wissemburgiem i Reichshoffen¹², porażki te przyniosłyby im Belgię. Ale my jesteśmy narodem bohaterów i myślimy zawsze, że jesteśmy zdradzani. Oto cała historia. I zauważy pan, że jesteśmy demokracją; to stan najmniej odpowiedni do układów. Nie daje się zaprzeczyć, że stawialiśmy opór długo i mężnie. Nadto mają nas za ludzi sympatycznych – sądzę, że słusznie. Zresztą wielkie czyny ludzkości były zawsze tylko posępnym błazeństwem, a historycy odnajdujący jakiś ład w dziejach – pustymi krasomówcami. Bossuet...

¹¹ *Dekady* – tym tytułem oznaczano historię Liwiusza, której powszechnie przyjęty tytuł jest: *Ab urbe condita libri CXXXXII*. [przypis redakcyjny]

¹² *pod Wissemburgiem i Reichshoffen* – pod Wissemburgiem i Reichshoffen w Alzacji zadali Prusacy klęskę Francuzom w r. 1870. [przypis redakcyjny]

W chwili gdy pan Bergeret wymawiał to nazwisko, drzwi do gabinetu otworzyły się z takim trzaskiem, że trzcinowy manekin zachwiał się i potoczył pod nogi zdumionego komandora Aspertini. Wpadła dziewczyna rudawa, zezowata, o niskim czole; potężna jej brzydota jaśniała młodością i siłą; okrągłe policzki i gołe ręce miały barwę triumfalnej czerwieni. Stała przed panem Bergeret i potrząsając łopatką do węgla zawołała:

– Odchodzę!

Była to młoda służąca Eufemia, która po kłótni z panią Bergeret wymawiała służbę. Powtórzyła jeszcze raz:

– Wracam do domu!

Pan Bergeret odrzekł:

– Dobrze. Idź sobie, ale cicho i spokojnie.

Powtórzyła kilkakrotnie:

– Idę sobie, idę sobie! Skołowaciałabym tu z panią!

I opuszczając łopatkę, dodała spokojniej:

– A w dodatku dzieją się tu rzeczy, których wolę nie widzieć.

Pan Bergeret, nie siląc się na wyjaśnienie tych tajemniczych słów, zwrócił uwagę służącej, że jej nie zatrzymuje i że może odejść.

– To niech mi pan da moje pieniądze.

– Odejdź – odrzekł pan Bergeret – czyż nie widzisz, że mam co innego do czynienia teraz niż rachować się z tobą? Zaczekaj z tym!

Ale Eufemia, znów podnosząc czarną i ciężką łopatkę, wrzasnęła:

– Niech mi pan odda moje pieniądze! Proszę mi wypłacić moje zasługi!

II

O szóstej wieczorem ksiądz Guitrel wysiadł z pociągu w Paryżu, zawołał na placu przed dworcem fiakra i pod ulewnym deszczem, w gęstym cieniu usianym światełkami latarni, kazał się zawieźć na ulicę des Boulangers pod numer 5. Tam, przy tej wąskiej, nierównej, wspinającej się pod górę uliczce, nad bednarzami i handlarzami korków, w zapachu kuf i beczek, mieszkał dawny jego przyjaciel, ksiądz Le Genil, kapelan Sióstr Siedmiu Ran i kaznodzieja w jednej z najarystokratyczniejszych parafii Paryża, gdzie wygłaszał kazania wielkopostne, ściągające wielu słuchaczy. Tam zawsze stawał ksiądz Guitrel, ilekroć przyjeżdżał do Paryża, aby popracować nad postępami swej powolnej kariery. Dzień cały obcasy jego trzewików drobnym kroczeniem, dyskretnie dzwoniły po bruku miejskim, po stopniach schodów, po posadzce najrozmaitszych domów. Wieczorem spożywał wieczerzę z księdzem Le Genil. Dwaj dawni koledzy z seminarium opowiadali sobie zabawne historyjki, informowali się o cenach mszy i kazań i grali partyjkę manilli. O dziesiątej służąca Nastusia stawiała w jadalni żelazne łóżko dla księdza Guitrel, który też pamiętał zawsze, by na wyjeździe dać jej nowiuteńką pięciofrankówkę.

Tym razem, jak zwykle, wysoki, barczysty ksiądz Le Genil opuszczył szeroką rękę na ramię księdza Guitrel, który aż ugiął się pod nią, i powitał go głosem huczącym jak organy. Natychmiast zapytał wedle swego starego, jowialnego zwyczaju:

– Czy przywozisz mi przynajmniej tuzin tuzinów mszy do odprawienia po dukacie każda, czy też zawsze dla siebie tylko zachowywać będziesz złoto, które strugami ci płynie od twoich prowincjonalnych dewotek, ty stary sknero? – Mówił tak wesoło, bo był biedny i wiedział, że Guitrel jest równie biedny jak on. Guitrel, który znał się na żartach, choć sam nie żartował nigdy z braku wrodzonej wesołości, odpowiedział, że musiał przyjechać do Paryża po różne powierzone mu sprawunki, głównie zaś po książki. Prosił przyjaciela, by go przyjął na dwa, trzy dni, nie na dłużej.

– Powiedz prawdę raz w życiu – odrzekł ksiądz Le Genil – przyjeżdżasz po mitrę, stary lisie! Jutro rano ze słodką minką przedstawiś się nuncjuszowi. Będiesz biskupem, Guitrel!

I kapelan Sióstr Siedmiu Ran, kaznodzieja kościoła Świętej Ludwika, z ironiczną czcią, w której była może przymieszka instynktownego szacunku, skłonił się nisko przed przyszłym biskupem. Po czym twarz jego znów przybrała ten wyraz rubaszny, w którym widniała dusza nowego Oliviera Maillard¹³.

– Wejdz, proszę! Może chcesz się czymś pokrzepić?

Ksiądz Guitrel był człowiekiem skrytym. Jego ściągnięte usta zdradzały niezadowolenie, że odgadnięto jego cele. Istotnie, przybywał on, by kandydaturze swej zapewnić wpływowe poparcie. Nie miał najmniejszej ochoty opisywać wykrętnych starań temu przyjacielowi, z natury szczeremu, u którego szczerość była nie tylko cnotą, ale i polityką zarazem.

Szeptał więc:

– Nie sądz tak... mylisz się tym więcej, że...

Ksiądz Le Genil wzruszył ramionami:

– Stary obłudniku!

Wprowadziwszy przyjaciela do sypialni, usiadł pod lampą naftową i zabrał się do przerwanej pracy, mianowicie do reperowania spodni. Ksiądz Le Genil, ceniony kaznodzieja w diecezjach Paryża i Wersalu, reperował swą garderobę, by oszczędzić trudu starej służce. Prócz tego istotnie lubił szyć, do czego przywykł w ciężkich czasach swej młodości kapłańskiej. Tak więc ten kolos o spiżowych płucach, z kazalnicy gromiący niedowiarków, siedział teraz na wyplatany krzeselku i czerwonymi,

¹³ Olivier Maillard (1430–1502) – głośny i popularny kaznodzieja, który wplatał do swych kazań ustępki wesołe i rubaszne. [przypis redakcyjny]

grubymi palcami powoli wyciągał igłę. Unosząc głowę znad roboty i zwracając na księdza Guitrel groźne spojrzenie swych wielkich, pocziwych oczu, rzucił:

– Zagramy wieczorkiem naszą partyjkę, stary szachraju!

Ale Guitrel nieśmiało i z uporem bąkał, że musi wyjść po kolacji. Guitrel miał swój plan. Prosił, by pośpieszono z podaniem wieczerzy, zjadł bardzo szybko ku wielkiemu niezadowoleniu księdza Le Genil, który lubił jeść dobrze i gadać dużo za stołem. Wstał prędko, nie czekając na deser, przeszedł do drugiego pokoju, zamknął się tam i włożył ubranie świeckie, przywiezione w walizce. Po chwili ukazał się przyjacielowi w długim, czarnym, poważnym surducie, śmiesznym jak przebranie. W nieco wyrudziałym, niezwykle wysokim cylindrze na głowie szybko wypił kawę, zmówił modlitwę i wymknął się z domu.

Ksiądz Le Genil wybiegł za nim na schody.

– Nie dzwoń wracając, obudziłbyś Nastusię! Znajdziesz klucz pod słomianką. Jeszcze słówko, Guitrel; wiem, dokąd idziesz. Idziesz na lekcję deklamacji, stary Kwintylianie!

Ksiądz Guitrel w wilgotnych ciemnościach szedł w górę nadrzecznych bulwarów; wśród obojętnych przechodniów, zaledwie spoglądających na jego niezmierniej wysokości kapelusz, przeszedł most des Saints-Pères i plac du Carrousel i zatrzymał się u tokańskiego perystylu Komedii Francuskiej. Tu odczytał afisz, by się przekonać, czy widowisko niezmienione i czy rzeczywiście grają *Andromachę* i *Chorego z urojenia*. Potem u drugiego okienka zażądał biletu na parter.

Zasiadł na wąskiej ławeczce prawie już zapelnionej widzami, za pustymi jeszcze fotelami, wyjął z kieszeni gazetę, nie dlatego, żeby ją czytać, ale by mniej zwracać na siebie uwagę przy podsłuchiwaniu toczących się dokoła niego rozmów. Miał słuch ostry, patrzył uchem, podobnie jak pan Worms-Clavelin słuchał ustami. Sąsiadami jego byli subiekci, handlowcy, rękodzielnicy, zawdzięczający bezpłatne bilety znajomości z jakimś maszynistą czy kostiumerką; ludzie skromni, prości, chciwi widowisk, zadowoleni z siebie, zajęci totalizatorem i wyścigami cyklistów, młodzież spokojna, nieco nasiąkła duchem koszar, bezwiednie demokratyczna i republikańska, ale konserwatywna nawet w żartach z prezydenta Republiki. Ksiądz Guitrel chwycił w lot zasłyszane tu i ówdzie słowa zdradzające ten stan umysłów i myślał o księdzu Lantaigne, który w głębi swej samotni marzył o powrocie tego ludu do monarchii teokratycznej. I śmiał się ukryty za swą gazetą.

„Ci paryżanie – myślał – są najzgodniejszymi ludźmi na świecie. Źle sądzą ich u nas na prowincji. Dałby Bóg, żeby republikanie i wolnomyśliciele w biskupstwie Tourcoing skrojeni byli na tę modłę! Ale duch Francuzów północy gorzki jest jak chmiel ich pól. Znajdę się w mojej diecezji między fanatycznymi socjalistami i żarliwymi katolikami”.

Wiedział, jakie kłopoty czekają go na tronie błogosławionego Lupusa, ale nie lękał się ich, przeciwnie, wzywał je na swoją głowę z tak ciężkim wzdychaniem, iż sąsiad spojrzał nań, myśląc, że mu słabo. Tak to ksiądz Guitrel snuł w swej głowie myśli biskupie przy wtórze lekkomyślnych rozmów, skrzypiących drzwi i ciągłego ruchu bileterek.

Ale gdy za trzykrotnym uderzeniem kurtyna z wolna się podniosła, całą uwagę skupił na przedstawieniu. Zajmowały go tylko dykcja i gesty aktorów. Wymowę, chód, grę twarzy badał z zawodową ciekawością starego kaznodziei, pragnącego podpatrzeć tajemnicę szlachejnych ruchów i patetycznych akcentów. Kiedy następowały długie przemowy, podwajał uwagę, żałując tylko, że nie słucha Corneille'a, bogatszego w tyrady, płodniejszego w efekty krasomówcze i lepiej zaznaczającego rozmaite części oracji. W chwili gdy aktor grający Orestesa wypowiedział rzeczywiście klasyczny ustęp: „Zanim wszyscy Greczyni...”, profesor retoryki kościelnej zaczął notować w umyśle wszystkie pozy i wszystkie modulacje głosu. Ksiądz Le Genil dobrze znał swego przyjaciela; wiedział, że subtelny profesor wymowy kościelnej chodzi do teatru na lekcje deklamacji!

Ksiądz Guitrel na aktorki mniej zwracał uwagi. Kobiętę miał w pogardzie. Nie znaczy to, żeby zawsze był czysty myślą. W kapłaństwie swym poznał i on niepokoje ciała. Jak ominął, odwrócił lub przekroczył szóste przykazanie, wiedział tylko Bóg! I jakiego rodzaju istoty mogły również wiedzieć o tym, tego doszukiwać się nie trzeba. *Si iniquitates observaveris, Domine, Domine, quis*

*sustinebit*¹⁴? Ale był księdzem i wstrętne mu było łono Ewy, nienawistny mu był zapach warkoczy kobiecych. Swemu sąsiadowi z ławki, subiektowi, wychwalającemu sławne i piękne ramiona aktorki, odpowiedział wyrazami lekceważenia, które bynajmniej nie było obłudą.

Zainteresowanie jego dotrwało do końca tragedii. Obiecywał sobie, że zapalczywość Orestesa, tak jak ją odtwarzał znakomity aktor, przeniesie do kazania o mękach niedowiarków i nędznym końcu grzeszników. I podczas przerwy starał się w myśli według tego, co usłyszał, poprawiać pewien akcent prowincjonalny, który dotąd kaził jego wymowę. „Głos biskupa z Tourcoing – myślał sobie – nie powinien trącić kwasem jak wina z naszych wzgórz w Owernii”.

Komedia Moliera, zamykająca przedstawienie, zabawiła go ogromnie. Nie umiał sam wyszukiwać śmieszności, więc rad był, gdy mu je ukazywano. Cieszył się zwłaszcza, gdy uchwycił jakieś szczegóły wesołe upokarzające ciało; śmiał się też z całego serca z ustępów nieprzyzwoitych.

W połowie ostatniego aktu wyjął z kieszeni bułeczkę i zjadł ją drobnymi kąskami, zasłaniając ręką usta. Spieszył się, by w tym posiłku nie zaskoczyła go północ, nazajutrz rano bowiem miał odprawić mszę w kaplicy Sióstr Siedmiu Ran.

Po przedstawieniu drobnym swym kroczkiem wracał na kwaterę przez opustoszałe bulwary nadrzeczne. W ciszy rzeka szemrała głuchą skargą swych wód. Ksiądz Guitrel kroczył w rudej mgle, która powiększała wszystkie kształty i jego kapeluszowi nadawała w nocy niesamowitą wysokość. Gdy posuwał się wzdłuż lepkich murów starego szpitala, brzydka ulicznica, już niemłoda, ogromna, z gołą głową, z piersią źle obciągniętą białym kaftanikiem, kulejąc, podeszła do niego i ciągnąc go za połę surduta, zaczęła mu się narzucać. Potem, nagle, zanim nawet pomyślał, by uwolnić się od niej, uciekła, wołając:

– Ksiądz! Co za pech! – i biegnąc w stronę parkanu otaczającego jakiś dom w odbudowie, jęczała: – Jakież jeszcze nieszczęście mnie spotka? Bodaj to...

Ksiądz Guitrel wiedział o głupim przesądzie babskim, że spotkanie księdza ma być złą wróżbą, i o zwyczaju pukania w suche drzewo dla zażegnania uroku, ale zdziwił się, że ta dziewczyna uliczna od razu poznała jego zawód mimo świeckiego ubrania.

„Oto kara, co dosięga nas za zrzucenie sutanny – pomyślał. – Księdza, który w nas jest, utaić nie podobna. *Tu es sacerdos in aeternum*¹⁵, Guitrel”.

¹⁴ *Si iniquitates (...) sustinebit* (łac.) – Panie, Panie, będzieszli nieprawości upatrywał, któż się ostoi (z Psalmu 130). [przypis redakcyjny]

¹⁵ *Tu es sacerdos in aeternum* (łac.) – jesteś kapłanem na wieki. [przypis redakcyjny]

III

Gnany wiatrem północnym, pędzącym opadłe liście po białym i twardym bruku, pan Bergeret przeszedł plac zabaw wśród ogołoconych wiązków i wstępował na wzgórze Duroc. Stapał twardo po nierównym bruku. Minął po prawej stronie kuźnię i mleczarnię, na której wymalowane były dwie czerwone krowy, po lewej – długi, niski mur okalający ogrody warzywne i zmierzał ku niskiemu, zamglonemu niebu, które fioletową pręgą zamykał widnokrąg.

Z rana przygotował swój dziesiąty i ostatni wykład o ósmej księdze *Eneidy* i machinalnie powtarzał w myśli osobliwości metryczne i gramatyczne, które zajęły jego uwagę. Rytm swej myśli nastrajając do rytmu swych kroków, powtarzał w różnych odstępach miarowe słowa: *Patrio vocat agmina sistro*¹⁶ Ale niekiedy jego ciekawy i różnostronny umysł puszczał się na niezwykle śmiałe spostrzeżenia krytyczne. Wojenna retoryka tej ósmej księgi zabijała go. Wydawało mu się śmieszne, że Eneasza otrzymał od Wenery tarczę z płaskorzeźbami wyobrażającymi sceny z historii rzymskiej aż do bitwy pod Akcjum i ucieczki Kleopatry. *Patrio vocat agmina sistro*. Wyszedszy na Drogę Pasterek, górującą nad wzgórzami Duroc, pan Bergeret przystanął przed opróżnionym, zapleśniałym, na czerwono malowanym szynkiem ojca Maillard i pomyślał, że ci Rzymianie, których studiowaniu życie swe poświęcił, straszą się przez swą nadętą mierność. W miarę lat i kształcenia smaku cenił już tylko Katullusa i Petroniusza. Ale trudno, musiał trzymać się gleby, którą orał. *Patrio vocat agmina sistro*. Czyżby Wergiliusz i Propertjusz, myślał sobie, chcieli nam wmówić, że słabe dźwięki lutni, towarzyszące frenetycznym i pobożnym tańcom kapłanów, były również muzyką żeglarzy i wojowników egipskich? Tego wystawić sobie nie podobna¹⁷.

Schodząc ścieżką od Drogi Pasterek po przeciwległym stoku wzgórz Duroc, poczuł nagle łagodne ciepło powietrza. Droga schodziła tu między ścianami wapienia, których czepiały się z wysiłkiem korzenie młodych dębów. Osłonięty¹⁸ od wiatru, pod bladym, bezpromiennym słońcem grudniowym, chylącym się do widnokręgu, pan Bergeret szepnął jeszcze ciszej: – *Patrio vocat agmina sistro*. Bez wątpienia, Kleopatra uciekła z Akcjum ku Egiptowi, ale uciekła, przedarłszy się przez flotę Oktawiana i Agryppy, którzy usiłowali zamknąć jej przejście.

I zachęcony łagodnością powietrza oraz oświetlenia, pan Bergeret usiadł na skraju drogi na kamieniu, który, ongi oderwany od góry, z wolna pokrywał się ciemnym mchem. Przez sieć cienkich gałązek drzew profesor patrzył na liliowe niebo przyćmione mgłą i odczuwał cichy smutek marzenia w zupełnej samotności.

„Antoniusz i Kleopatra – myślał – atakując blokujące ich okręty Agryppy, mieli jedynie na celu otworzyć sobie przejście. To właśnie udało się Kleopatrze: wyswobodziła swoje sześćdziesiąt okrętów”. I pan Bergeret w swoim parowie oddawał się niewinnej chwale: decydował o losach świata na sławnych wodach Akarnanii. Lecz spojrzawszy o trzy kroki przed siebie, ujrzał z drugiej strony ścieżki starca siedzącego na kupie zwiedłych liści i opartego o szare zbocze. Była to postać ponura, ledwie wyróżniająca się wśród otoczenia. Twarz, broda, łachmany miały barwę i odcień kamienia i liści. W ręku starzec miał stare ostrze noża, bardzo cienkie na skutek wieloletniego ostrzenia. Z wolna oskrobywał nim gruby kawał drzewa.

– Dzień dobry panu – rzekł staruszek. – Słoneczko jest bardzo przyjemne. A najlepsze w tym wszystkim, że nie będzie deszczu.

Pan Bergeret poznał Skowronią Nóżkę, włóczęgę, którego bardzo niesłusznie sędzia śledczy, pan Roquincourt, wmieszał był do zbrodni w domu królowej Małgorzaty. Sześć miesięcy trzymał go

¹⁶ *Patrio (...) sistro* (łac.) – cytat z *Eneidy* (ks. VIII, w. 696), (...) dosł.: „ojcowską grzechotką zwołuje hufce” [o królowej Egiptu; red. WL]. [przypis redakcyjny]

¹⁷ *nie podobna coś zrobić* – nie można, nie sposób coś zrobić. [przypis edytorski]

¹⁸ *osłonięty* – dziś: osłonięty. [przypis edytorski]

w więzieniu; spodziewał się, że może wyjdą na jaw jakieś nieprzewidziane poszlaki przeciw niemu, lub też może myślał, że aresztowanie wyda się tym słuszniejsze, im dłużej trwać będzie, a może po prostu złościł się na człowieka, który zmylił był drogi sprawiedliwości. Pan Bergeret miał sympatię do nędzarzy i uprzejmie odpowiedział na grzeczne słowa Skowroniej Nóżki.

– Dzień dobry, przyjacielu – rzekł doń. – Widzę, że znasz dobre miejsca. Na tym zboczku jest ciepło i zacisznie.

Po chwili milczenia Skowronia Nóżka odrzekł:

– Znam miejsca jeszcze lepsze. Ale są dość daleko. Nie trzeba obawiać się chodzenia. Mam nogi dobre, ale złe trzewiki. Nie mogę włożyć dobrych, nie jestem do nich przyzwyczajony. Gdy mi kto da całe trzewiki, rozcinam je.

I uniósł nogę z kupy zeschniętych liści; paluch owinięty gałganem wystawał z dziury w bucie.

Zamilkł i uważnie oskrobywał dalej twarde drewno.

Pan Bergeret powrócił do swoich myśli. *Pallentem morte futura*¹⁹. Okręty Agryppy nie zdołały w przejeździe zatrzymać „Antoniady” o purpurowych żaglach. Przynajmniej tym razem gołąbka wymykała się sępowi.

Skowronia Nóżka odezwał się:

– Zabrali mi nóż.

– Któż taki?

Włóczęga podniósł rękę i skierował ją w stronę miasta. Nic więcej nie powiedział, ale widocznie szedł dalej za biegiem swej myśli, bo po chwili dodał:

– Nie oddali mi go.

I zamilkł poważny, niezdolny wyrazić myśli przewalających się w jego ciemnej duszy. Nóż i fajka były jego jedynym dobrem na świecie. Nożem krajał czerstwe kromki chleba i skrawki słoniny, otrzymywane u drzwi chat, twarde pożywienie, którego jego bezzębne szczęki już gryźć nie mogły; nożem siekał odpadki cygar, którymi napychał fajkę, nożem okrawał zgniłe owoce i wyszukiwał w kupach śmieci coś zdatnego do zjedzenia. Nożem przykrawał sobie kij do drogi i ścinał gałęzie, z których układał poślanie na nocleg w lesie. Nożem rzeźbił z kory dębów stateczki dla chłopców i z białego drzewa lalki dla dziewczynek. Nożem wykonywał wszelkie przedmioty, najpotrzebniejsze i najsubtelniejsze. Zawsze zgłodniały, a niekiedy przemyślny, zarabiał na swe potrzeby robiąc z sitowia delikatne fontanny, które podobały się panom z miasta.

Bo człowiek ten pracować nie chciał, ale uprawiał najróżnorodniejsze rzemiosła. Wychodząc z więzienia nie zdołał wymóc, by mu oddano nóż złożony w kancelarii. I poszedł w świat bezbronny, pozbawiony i tego jedynego dobra, słabszy niż dziecię. Zapłakał nad swą niedolą. Drobnie łzy, nie spływając, piekły jego krwawe źrenice. Potem powróciła otucha – wyszedłszy z miasta, u przydrożnego słupa znalazł stare ostrze. Teraz zajęty był oprawianiem go w bukową rączkę, którą przyciął sobie w lasku.

Wspomnienie noża nasunęło mu myśl o fajce.

– Nie zabrali mi fajki – rzekł.

I z wełnianego worka na piersiach wyjął coś niby czarny, lepki naparstek – sam tylko cybuch fajki.

– Mój biedaku – rzekł pan Bergeret – nie wyglądacie na zbrodniarza. Dlaczego więc dostajecie się tak często do więzienia?

Skowronia Nóżka nieprzyzwyczajony był do rozmowy, zupełnie nie umiał jej prowadzić. I chociaż nie był pozbawiony pewnej inteligencji, nie rozumiał od razu znaczenia zwróconych do niego słów. Brakło mu wprawy. Nie zaraz też odpowiedział panu Bergeret, który tymczasem końcem laski kreślił znaki w białym pyłe drogi. Skowronia Nóżka rzekł wreszcie:

¹⁹ *Pallentem morte futura* (łac.) – cytat z *Eneidy* (ks. VIII, w. 709); [dosł.: „pobladał od zbliżającej się śmierci”, red.WL]. [przypis redakcyjny]

- Nie robię nic złego. Więc karany jestem za coś innego.
- I rozmowa potoczyła się bez zbyt wielkich przerw.
- Chcecie powiedzieć, że wtrącają was do więzienia za czyny niewinne?
- Znam takich, co robią rzeczy złe. Ale szkodziłbym sobie, gdybym o tym mówił.
- Obcujecie z włóczęgami i zbrodniarzami?
- Chce mnie pan na słówka wyciągać. Zna pan pana sędziego Roquincourt?
- Znam go trochę. Surowy jest, nieprawdaż?
- Pan sędzia Roquincourt mówi dobrze. Nie słyszałem, żeby kto mówił tak dobrze i tak prędko.

Nie ma się czasu zrozumieć. Nie można odpowiedzieć. Nie słyszałem nigdy, żeby kto choć w połowie tak dobrze mówił jak on.

– Trzymał was pod śledztwem długie miesiące i nie macie za to żalu do niego. Co za przykład wspaniałomyślności i wyniosłego przebaczenia!

Skowronia Nóżka znów zaczął strugać trzonek noża. W miarę jak postępowała robota, rozpogadzał się i odzyskiwał spokój umysłu. Nagle zapytał:

- Zna pan niejakiego Corbon?
- Co za Corbon?

Było to zbyt trudne do wytłumaczenia. Skowronia Nóżka uczynił niejasny gest obejmujący ćwierć widnokregu. Myśl jego była zajęta jednak widać człowiekiem, którego wymienił, bo jeszcze raz powtórzył:

- Corbon.
- Skowronia Nóżko – zapytał pan Bergeret – mówią, że jesteście dziwnego rodzaju włóczęgą i że, nic nie mając, nigdy nic nie kradniecie. Jednak żyjecie ze zbrodniarzami. Znacie morderców?

Skowronia Nóżka odrzekł:

– Jedni tak myślą, drudzy tak. Ja, gdybym chciał źle zrobić, wykopałbym jamę pod drzewem na wzgórzu Duroc, położyłbym nóż na dnie jamy i przydeptałbym ziemię nogami. Tych, którzy chcą źle zrobić, nóż prowadzi. Nóż, a także duma. Ja, jeszcze będąc chłopcem, straciłem dumę, bo wyszydali mnie chłopci i dziewczęta, i dzieci nawet, zawsze i wszędzie.

- I nigdy nie mieliście złych i gwałtownych myśli?

– Dawniej miałem, gdy spotykałem samotne kobiety na drogach. Z powodu tego, co mi się o nich roilo. Ale teraz to skończone.

- I nie napada was to już?

– Czasami.

– Skowronia Nóżko, kochacie swobodę, jesteście wolni. Żyjecie bez pracy, jesteście człowiekiem szczęśliwym.

- Są ludzie szczęśliwi, ale ja nie.

– Gdzież są ci szczęśliwi?

– W chatach.

Pan Bergeret wstał, wcisnął pół franka w rękę Skowroniej Nóżki i rzekł:

– Sądzie, Skowronia Nóżko, że szczęście jest pod dachem, u ciepłego kominka, w miękkim łóżku. Miałem was za większego mędrca.

IV

W dzień Nowego Roku pan Bergeret od rana włożył frak, który dawno stracił połysk i w szarym blasku zimowego dnia wydawał się jakby posypany popiołem. Złote palmy akademickie, przypięte na fioletowej wstążce do klapy, śmiesznie błyszcząc, uwydatniały wyraźniej jeszcze, że pan Bergeret nie jest kawalerem legii honorowej. Czuł się on w tym ubraniu niezmiernie nędzny i szczupły. Białe krawaty wydał mu się ozdobą godną politowania. Co prawda, nie był pierwszej świeżości. I gdy po długim, bezowocnym gnieceniu gorsu przekonał się, że w dziurkach, zniszczonych długim użyciem, spinki dobrze trzymać się nie chcą, zasępił się ostatecznie. Do serca jego wnikał żal, że nie jest człowiekiem światowym. Siadł na krześle i dumał.

„Czy doprawdy istnieje wielki świat i światowcy? Zdaje mi się, że tak zwany wielki świat jest jak srebrny i złoty obłok zawieszony w błękitie niebios. Gdy się przezeń przechodzi, widzi się tylko mgłę. W rzeczywistości ugrupowania społeczne są bardzo niejasne. Ludzie łączą się z racji swych przesądów i upodobań. Ale upodobania często walczą z przesądami i przypadek mać wszystko. Bez wątplenia, trwałe bogactwo i wynikająca stąd swoboda wytwarzają pewien sposób życia i pewne szczególne przyzwyczajenia. I to stanowi istotnie wspólną cechę światowców. Wspólność ta ogranicza się do nawyków grzeczności, higieny, sportu. Istnieją obyczaje światowe. Są one czysto zewnętrzne i przez to samo bardzo drażliwe. Istnieją maniery, zewnętrzne pozory światowe. Ale nie ma ludzi światowców. W rzeczywistości charakteryzują nas tylko nasze namiętności, idee, uczucia. Mamy świat wewnętrzny, do którego zewnętrzny nie dociera”.

A jednak zły stan krawata i koszuli niepokoiły go. Poszedł przejrzeć się w lustrze w salonie. W lustrze tym ukazał mu się jego obraz daleki, przesłonięty wielkim koszem wrzosa, z wijącymi się czerwonymi atłasowymi wstęgami. Upleciony z łożyny kosz ów miał kształt wozu o pozłocistych kołach i stał na fortepianie między dwoma woreczkami kasztanów w cukrze. U złożonego dyszła była przypięta karta pana Roux. Był to podarek pana Roux dla pani Bergeret.

Profesor nie odsunął owitych wstęgami kęp wrzosa, wystarczyło mu, że zza kwiatów ujrzał swoje lewe oko, któremu życzliwie przyglądał się czas jakiś. Pan Bergeret nie wierzył, by go ktoś kochał na tym lub innym świecie, więc sam siebie darzył litością i sympatią. Był łagodny dla siebie, tak jak dla biedaków. Wyrzekł się więc dłuższej obserwacji swej koszuli i krawata i rzekł do siebie:

„Studiujesz tarczę Eneasza, a krawat twój jest zmięty. Oto już dwie śmieszności. Nie jesteś człowiekiem światowym. Staraj się przynajmniej żyć życiem wewnętrznym i uprawiaj bogatą glebę w samym sobie”.

W tym dniu noworocznym nie brakło mu powodów do narzekania na los, miał bowiem składać życzenia ludziom pospolitym i gruboskórnym: rektorowi i dziekanowi. Rektor, pan Leterrier, nie znosił profesora Bergeret. Była to antypatia wrodzona, wzrastająca regularnie jak pęd rośliny i wydająca corocznie owoce. Pan Leterrier, profesor filozofii, autor podręcznika, w którym osądził wszystkie systemy, posiadał niewzruszoną pewność doktryny oficjalnej. W jego umyśle nie istniała żadna wątpliwość co do zagadnień dotyczących się piękna, prawdy, dobra, których cechy określił w swej pracy (od str. 216 do 262). Pana Bergeret uważał za człowieka przewrotnego i niebezpiecznego.

Pan Bergeret przyznawał zupełną słuszność antypatii, którą miał do niego pan Leterrier, i z tego powodu nie szemrał. Niekiedy nawet wywoływała ona na jego ustach uśmiech pobłażania. Ale doznawał rzetelnej przykrości, gdy spotykał się z dziekanem, panem Torquet, który w ogóle nie myślał i który, nadziany uczonością, miał duszę analfabety. Grubas ten, bez czoła i bez czaszki, cały dzień zajęty w domu i ogrodzie liczeniem kawałków cukru i gruszek lub zakładaniem dzwonków podczas wizyt swych kolegów z wydziału, gdy chciał komu szkodzić, okazywał taką energię i taką inteligencję, że zdumiewał pana Bergeret. O tym myślał profesor nadzwyczajny wkładając palto, by pójść złożyć życzenia noworoczne panu dziekanowi Torquet.

Znalazłszy się na ulicy, doświadczył wszakże uczucia radości. Odnajdował tam najdroższe dobro: filozoficzną wolność. Na rogu ulicy des Tintalleries, naprzeciwko Dwóch Satyrów, zatrzymał się, żeby przyjaźnie spojrzeć na akację, która z ogrodu rzeźnika Lafolie wychylała zza muru swoją bezlistną koronę.

„Drzewa – myślał – przybierają zimą pewne wewnętrzne piękno, którego nie mają w całym przepychu i krasie liści i kwiecica. Uwydatniają delikatność swej budowy: obfitość tych gałązek, cienkich jak gałązki czarnego koralu, jest prześliczna. Nie są to szkielety, to mnóstwo ładnych, drobnych członków, w których drzemie życie. Gdybym był pejzażystą...”

Gdy tak rozmyślał, barczysty jegomość zawołał go po nazwisku i nie zatrzymując się, wsunął mu rękę pod ramię. Był to pan Compagnon, najpopularniejszy z profesorów, ulubiony przez uczniów; jego wykłady matematyki odbywały się w największym audytorium.

– Życzę wam szczęśliwego roku, kochany Bergeret. Założę się, że tak jak ja idziecie do dziekana. Pójdziemy razem.

– Bardzo chętnie – odparł pan Bergeret. – W ten sposób kroczyć będę przyjemnie ku przykreemu celowi. Bo przyznaję się, że ujrzenie pana Torquet nie jest dla mnie przyjemnością.

Słyszac to wyznanie, którego nie wywołał, pan Compagnon instynktownie czy też przypadkiem cofnął rękę, którą był włożył²⁰ pod ramię kolegi.

– Wiem, wiem, mieliście nieporozumienia z dziekanem. Nie jest to jednak człowiek niemiły w stosunkach.

– Mówiąc tak o nim – odparł pan Bergeret – nie myślałem nawet o niechęci, którą dziekan żywi ku mnie. Ale samo zetknięcie się z człowiekiem pozbawionym wszelkiej wyobraźni mrozi mnie do szpiku kości. Nie myśl o niesprawiedliwości i nienawiści, nawet nie widok cierpień ludzkich naprawdę nas zasmuca. Przeciwnie, cierpienia naszych bliźnich, o ile je nam przedstawia wesoło, pobudzają nas do śmiechu. Ale te dusze głuche, w których nic nie znajduje oddźwięku, te istoty, w których unicestwia się świat, to widok smutny i rozpaczliwy. Obcowanie z panem Torquet jest jedną z największych przykrości mego życia.

– Mniejsza o to! – rzekł pan Compagnon. – Nasz uniwersytet jest jednym z najświetniejszych we Francji zarówno ze względu na zasłużonych profesorów, jak i na urzędników sal wykładowych. Tylko laboratoria pozostawiają nieco do życzenia. Ale spodziewać się należy, że połączone usiłowania naszego rektora, tak oddanego tej sprawie, i senatora, tak wpływowego jak pan Laprat-Teulet, i tę lukę wkrótce wygładzą.

– Należałoby też sobie życzyć – rzekł pan Bergeret – żeby nie wykładano już kursu łaciny w ciemnej, wilgotnej piwnicy.

Przechodząc placem Św. Eksuperego pan Compagnon wskazał na dom Deniseau.

– Nie mówi się już o tej jasnowidzącej, która obcowała ze świętą Radegondą i kilkoma innymi świętymi z raju. Czy widzieliście ją, Bergeret? Kiedy była najwięcej w modzie, wprowadził mnie do niej Lacarelle, szef gabinetu prefekta. Siedziała na fotelu z zamkniętymi oczyma, a tuzin wiernych zadawał jej pytania. Pytano, czy zdrowie papieża jest zadowalające, jakie będą skutki przymierza francusko-rosyjskiego, czy uchwalony będzie podatek dochodowy i czy wkrótce wynajdą środek na leczenie suchot. Odpowiadała na wszystko stylem poetycznym, dość biegle. Gdy na mnie przysła kolej, zadałem jej proste pytanie: „Ile wynosi logarytm 9?”. Czy myślicie, Bergeret, że odpowiedziała: 0,954?

– Nie, wcale tak nie myślę – odrzekł pan Bergeret.

– Nic nie odpowiedziała – rzekł pan Compagnon – nic zupełnie. Milczała. Powiedziałem: „Jakże święta Radegonda może nie wiedzieć, ile wynosi logarytm 9? To przecież nie do uwierzenia!”. Byli tam dymisjonowani pułkownicy, księża, starsze damy i lekarze rosyjscy. Byli zdumieni, a nos Lacarelle'a wyciągnął się aż do pępka. Uciekłem wśród ogólnego potępienia.

²⁰ był włożył – forma daw. czasu zaprzęzłego; dziś: włożył (wcześniej, przedtem). [przypis edytorski]

Rozmawiając w ten sposób, panowie Compagnon i Bergeret u końca placu spotkali pana Roux, obficie rozrzucającego po mieście swe bilety wizytowe. Miał bowiem dużo znajomych.

– Oto mój najlepszy uczeń – rzekł pan Bergeret.

– Wygląda na tęgiego chłopca – rzekł pan Compagnon, który cenił siłę. – Czemuż u licha studiujesz łacinę?

Na to pan Bergeret, dotknięty, zapytał profesora matematyki, czy sądzi, że studia języków klasycznych mają być wyłącznie udziałem kalek, ludzi wątłych i słabych.

Lecz pan Roux, kłaniając się obu profesorom, ukazywał już w uśmiechu swe wilcze zęby. Był zadowolony. W swej genialnej przenikliwości odkrył tajemnicę wojskowego rzemiosła, co przyniosło mu nową korzyść. Pan Roux tegoż rana właśnie otrzymał dwutygodniowy urlop dla leczenia pewnego nieokreślonego i mało dającego się odczuwać bólu w kolanie.

– Szczęśliwy człowiek! – zawołał pan Bergeret. – Żeby oszukiwać, nawet kłamać nie potrzebuje. – Potem zwracając się do pana Compagnon dodał: – Pan Roux, mój uczeń, jest nadzieją metryki łacińskiej. Ale przez dziwny kontrast młody ten humanista, tak ściśle rozmiarujący wiersze Horacego i Katullusa, sam po francusku pisze wiersze, których nie skanduje regularnie. Nie mogę, wyznaję to, uchwycić ich nieokreślonego rytmu. Słowem, pan Roux pisze białym wierszem.

– Doprawdy? – rzekł uprzejmie pan Compagnon.

Pan Bergeret, który ciekaw był wiedzy i lubił nowości, poprosił pana Roux, żeby zadeklamował najświeższy, nieznany jeszcze ogłowi swój poemat *Metamorfoza nimfy*.

– Posłuchajmy, co to jest – rzekł pan Compagnon. – Przejdę na lewą stronę, żeby do pana zwrócić zdrowe ucho, na drugie źle słyszę.

Pan Roux zaczął deklamować *Metamorfozę nimfy* głosem wolnym, przeciągłym i śpiewnym. Mówił, a wiersze jego chwilami głużył i przecinał turkot wozów:

Nimfa blada
Całą siłą swych ramion
I prężnych bioder
Przez wodę
Wzdłuż łagodnego brzegu,
Wzdłuż wyspy, z której wierzby szarawe
Rzucają na nią strój cieni
Zieleni,
Ucieka.

Dalej ukazał w kalejdoskopowo zmieniających się obrazach:

Zielenią ujęte wody,
Przy nich gospody
I tłuszców smacznych wonie.

Nimfa wymyka się, niespokojna i zmieszana. Zbliża się do miasta; tu metamorfoza się dokonywa²¹.

Twardy kamień wybrzeża biodra jej rozrywa,
Na piersi białej jeży się włos szorstki
I w czarnym węglu, którym mgła ocieka,
Nimfa tragarzem się staje,

²¹ dokonywa się – dziś raczej: dokonuje się. [przypis edytorski]

Co w krocach tłumoków
Węgiel nosi do doków.

Potem poeta opiewa rzekę przerynącą miasto:

I rzeka odtąd grodzka, historyczna,
Opiewana w annałach i kronikach sławy
Dziejowej,
Od szarych głazów staje się poważna
I nawet smutna.
Ciecze pod cieniem potężnych bazylik,
Gdzie dotąd jeszcze Adalbertów widma
Błądzą w krużgankach.
Bezimiennych topielców biskup nie rozgrzesza,
Ich zwłoki bezimienne, wzdęte,
Przeklęte
Płyną wśród wysp, co legły jak łodzie,
Gdzie zamiast masztów kominy się wznoszą.
Stań u wybrzeża. Tam w pudle przekupnia
Niejeden szpargał od wieków zgryziony,
Na który liściem zwiędłym sypią klony,
Znajdziesz! A może jakie cenne pismo
Wpadnie ci w ręce
I poznasz władzę tajemniczych runów
I czarnoksięskich znaków wrytych na stali.

– Bardzo to piękne – rzekł pan Compagnon. Profesor Compagnon lubił literaturę, ale na skutek braku wprawy nie umiał odróżnić wiersza Racine'a od wiersza Mallarmégo.

A pan Bergeret pomyślał: „Czyżby to jednak było arcydzieło?”.

I z obawy, by nie ubliżyć nieznanemu pięknu, uścisnął w milczeniu rękę poety.

V

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.